



**PISMO MŁODZIEŻY**  
I. Państw. Liceum i Gimnazjum  
im. 1-go Marszałka Polski  
**JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO**

**Rok XIV Październik 1938 r. Nr 2**

Odbito w Drukarni „Orędownika Ostrowskiego”



*I tyle tęcz zapalisz na swym niebie,  
Ileś za młodu życia wchłonał w siebie.*

# „PROMIEN”

Miesięcznik Młodzieży I. Państw. Liceum i Gimnazjum  
im. I. Marsz. Polski J. Piłsudskiego w Ostrowie-Wlkp.

---

Kierownik Wydawnictwa — Red. odpowiedzialny — Redaktor Naczelny  
K. Woschke Prof. dr J. Jachimiek Rajski T.

---

ROK XIV

PAŹDZIERNIK 1938 R.

NR 2

---

## Redakcja i Administracja „Promienia”

w imieniu wszystkich uczniów I Państwowego Liceum  
i Gimnazjum im. I. Marszałka Polski Józefa Piłsud-  
skiego — z okazji nadania

### ZŁOTEGO KRZYŻA ZASŁUGI

p. dyr. A. CZECHOWSKIEMU

i p. prof. ST. WÓJTOWICZOWI

a Srebrnego Krzyża Zasługi

p. prof. B. CHRZANOWSKIEMU

p. prof. dr J. JACHIMKOWI

p. prof. FR. KOWALSKIEMU

oraz p. prof. K. STAŃCZYKIEWICZOWI

s k ł a d a

## serdeczne gratulacje

życząc dalszych pomyślnych wyników na polu pracy  
zawodowej i społecznej.

# Ważne chwile dziejowe

Zyjemy w czasach, kiedy mapa Europy stale, acz powoli się zmienia. Pominąwszy już zupełne przeobrażenie po wielkiej wojnie, jesteśmy świadkami ciągłych ruchów na naszym kontynencie. Żywym echem odbiło się przyłączenie do Niemiec Austrii, teraz znowu rozkład państwa czechosłowackiego.

Że Czechosłowacja, jako bardzo widoczny zlepek państw, nie mogła istnieć, widzieliśmy dokładnie. Koniec jej niepodległości prędzej czy później musiał nastąpić.

Teraz jest już po fakcie dokonanym lub prawie dokonanym. Jeszcze niedawno z zapalem słuchaliśmy transmisyj radiowych z wieców w Cieszynie, Katowicach, Poznaniu czy Warszawie, jeszcze niedawno porwani na rynku ostrowskim manifestowaliśmy za przyłączeniem Śląska Zaolzańskiego do Polski. Żywa pobudzona ludność z napięciem obserwowała dyplomatyczne posunięcia rządów państw europejskich.

Aż się doczekała. W niedzielę tuż po południu żołnierze grupy gen. Bortnowskiego na rozkaz Marszałka Śmigłego - Rydza przekroczyli most cieszyński, będący dotąd granicą między Polską a Czechosłowacją. Przeszło 200 tys. rodaków znalazło się w Ojczyźnie. Reszty dokonają plebiscyty.

Cały naród przystroił się w flagi narodowe. Doniosłym faktem był w sierpniu obchód 100-cia urodzin Jana Matejki, największego malarza historycznego Polski. Pamięć jego należy ożywić, o ile nie wskrzesić, wzięwszy pod uwagę całą plejadę młodszych malarzy, którzy Matejce zupełnie niesłusznie chcą odjąć sławę i znaczenie, jakie zdążył sobie zyskać wśród tych pokoleń. Za wielki to malarz i za wielki człowiek, aby popularność jego miała zaginąć w takim narodzie, jak Polska, która umie przecież czcić swych geniuszów. Temu zagadnieniu jak i sprawie czeskiej poświęcamy w niniejszym numerze osobne artykuły.

Podobna rocznica przypada w związku z urodzinami (11-go września 1838 r.) Adama Asnyka, czołowego poety okresu pozytywistów. Na świat przyszedł w Kaliszu, czyli niedaleko od nas. W uznaniu jego znaczenia wiele pism literackich poświęciło mu osobne artykuły. Artykuł o Asnyku ukazał się już w poprzednim numerze „Promienia“, sędzę, że jeszcze niedługo z jego postacią się spotkamy.

Tyle to luźnych uwag nasunęło się przy drugim numerze „Promienia“.

REDAKTOR NACZELNY.

# Gdy padły słupy graniczne!

Dla Polski Niepodległej wybiła wreszcie godzina sprawiedliwości dziejowej. Zrabowana przez Czechów przed 20-tu laty ziemia zaolzańska, karmiąca swymi owocami 250 - tysięcy naszych Rodaków — wróciła do macierzy. Wróciła do Polski przesiąknięta krwią najlepszych swych synów i zahartowana w walce, zakończonej chlubnym zwycięstwem.

Stary, piastowski lud śląski, przez tyle lat odłączony od Polski, nie pozwolił się wynarodowić. Nie pozwolił sobie usunąć z życia mowy ojców, lecz jak skarb najdroższy pielęgnował ją do dnia dzisiejszego. Do początku 19-go wieku ludność



Słup graniczny czeski jeszcze z 1918 roku, tj. z okresu przed zajęciem przez Czechów Śląska Zaolzańskiego. Dziś wskutek sprawiedliwości dziejowej, słup ten stanowi znowu granicę czeską.

polska nie była w masie swojej uświadomiona w duchu narodowym. Pierwszym budzicielem i twórcą ruchu narodowego był Paweł Stalmach. Za jego to przyczyną zaczęto wydawać na Śląsku w r. 1848 pierwsze polskie pismo, a mianowicie „Tygodnik Cieszyński“, które przez zawarte w nim artykuły podtrzymywał i rozpałał coraz bardziej pobudzoną już przed tym polskość. Na owoce nie trzeba było długo czekać, bowiem już w tym roku, w którym pojawiło się pismo, przedstawiciele Śląska Cieszyńskiego na zjeździe słowiańskim w Pra-

dze domagali się połączenia z Galicją, dając w ten sposób dowód swej nierozzerwalnej łączności z resztą narodu polskiego.

W następnych latach, mimo ciągłych przeszkód ze strony władz austriackich, założono bardzo ważną instytucję narodową, a mianowicie „Macierz Szkolną Księstwa Cieszyńskiego“, która bardzo chlubnie zapisała się w historii rozwoju ducha narodowego na Śląsku. Ona to założyła dwa polskie gimnazja w Cieszynie i Orłowej. Do roku 1900 ruch narodowy na Śląsku Cieszyńskim był skierowany w większości swej przeciw Niemcom. Tymczasem Czesi prowadzili ekspansję na wschód



**Żołnierz Rzeczypospolitej Polskiej pełni dzisiaj straż przy słupie granicznym, znaczącym dawną granicę czeskosłowacką.**

i próbowali szcechizować zagłębnie ostrawsko - karwińskie. Zauważył to jednak przywódca ludu polskiego ks. Stojakowski i przeciwstawił się tej akcji. On to zaczął wydawać gazetki polskie, które tak umiały zainteresować czytelnika, że z łatwością usunęły z oczu górnika polskiego niezrozumiałe pisma czeskie.

„Historia czasów wojennych i powojennych Śląska Cieszyńskiego, — pisał ks. Londrin — jest nieprzerwanym szeregiem wzruszających ofiar krwi i mienia na rzecz współroda-

ków. Już w październiku 1918 r. ludność polska Śląska Cieszyńskiego na olbrzymich wiecach deklarowała swą przynależność do wynurzającego się z toni państwa polskiego. Na podstawie umowy Rady Narodowej z czeskim „Narodnim Vybo-rem“ w dniu 5 listopada 1918 r. cały Śląsk Cieszyński, z wyjątkiem pięciu gmin powiatu frysztackiego miał przypaść Polsce. Ufając uczciwości słowiańskiego pobratymca, oddziały polskie, znajdujące się na Śląsku Cieszyńskim, ruszyły na obronę zagrożonego przez Ukraińców Lwowa.

Na to czekali tylko Czesi. Mimo bohaterskiego oporu rdzenie polskiej ludności, dobrze uzbrojeni legioniści czescy opa-



Na zdjęciu czołgi polskie, obrzucone kwiatami przez rozentuzjazmowane społeczeństwo dawnego czeskiego Cieszyna.

nowali Śląsk Cieszyński. Dalsza walka, to walka dyplomatyczna. Zagrożeni od wschodu zgodziliśmy się na wszystko. Decyzją Rady Ambasadorów, która nie wzięła pod względ ani woli ludności, ani zasady narodowościowej, Śląsk Cieszyński z czysto polskim Cieszynem, został rozdarty na dwie części, tworząc nigdy nieuznaną przez naród polski granicę i kopiąc jednocześnie nieprzebyty dół między dwoma słowiańskimi narodami.

Płynęły lata, lecz naród polski nie zapomniał o swych rodakach za Olzą. Z trudem powstrzymując się od decydującego czynu, który miał stanowić o przyszłości Polaków za Olzą, odczuwał razem z nim cierpienia i katusze, zadawane przez Czechów. 20 lat czekał naród polski cierpliwie na opamiętanie się naszego południowego sąsiada. Tymczasem czas opamiętania nie nadchodził. Zbliżała się natomiast godzina sprawiedliwości dziejowej. W prastarej piastowskiej krainie rozbrzmiała pieśń, przypominająca krwawe zmagania powstańców polskich z Moskalami: „Hej, kto Polak, na bagnety!...“ i porwała do walki stęsknione za Ojczyzną serca.



Na zdjęciu górnicy polscy z Karwiny w swych świątecznych strojach witają armię polską, wkraczającą na ziemię Śląska Cieszyńskiego.

Polacy za Olzą nie wierzyli w konferencje międzynarodowe. Ufali natomiast sile żołnierza, nie słabej, lecz mocarstwowej Polski. Wierzyli, że na odgłosy ich walki z wrogiem, żołnierz polski pospieszy im z pomocą. I nie zawiedli się ci biedni rodacy. Siła bowiem i potęga naszej armii sprawiła, że dziś znajdują się w wolnej i wymarzonej od lat Polsce. Żołnierz polski w imieniu Narodu Polskiego wziął Waszą ziemię pod swą straż, a straż żołnierza polskiego nigdy nie zawodzi.



Raz wcieleni w granice Rzeczypospolitej pozostaniecie przy Niej, Kochani Bracia za Olzą, po wieczne czasy. Most na Olzie, który przez 20 lat służył za granicę, stał się symbolem Waszego połączenia z Ojczyzną. A ta Olza szemrząca, zabarwiona krwią Waszą, a dziś, jako polska rzeka płynąca, niechaj będzie wstęgą nigdy nierozzerwalną, łączącą Was, Drodzy Rodacy, z Ojczyzną.

Skończyły się wreszcie dla Was cierpienia i katusze. Zahartowani w walce o wolność, powróciliście na łono Ojczyzny, która z otwartym sercem i rękoma wita Was i przyjmuje pod swe opiekuńcze skrzydła, z pod których nie wyrwie Was już żadna siła! Bohaterskie pułki wojska polskiego ze sztandarami okrytymi chwałą w bitwach, ozdobionymi barwą „Virtuti Militari“, wkroczywszy raz na prastarą piastowską ziemię, nie ustąpią z niej nigdy!

ANTONI KUT.

---

## Jan Matejko — wielki malarz historyczny

(W 100-lecie urodzin)

Dnia 24 czerwca 1938 r. minęło sto lat od chwili przyjścia na świat największego w Polsce malarza historycznego. Sto lat temu ujrzał po raz pierwszy światło dzienne ten wielki malarz - patriota, który w swej wizji plastycznej wszedł najgłębiej w ducha narodu, którego dzieje tak bardzo ukochał.

Matejko był synem ubogiego nauczyciela muzyka. Nauki wstępne pobierał w Krakowie, gdzie też, idąc za głosem powołania, ukończywszy zaledwie kilka klas gimnazjum, wstąpił do Akademii Sztuk Pięknych. Tu spotkał się z prof. Władysławem Łuszczkiewiczem, który swą manię badania staroświeczny przeszczepił swemu najzdolniejszemu uczniowi. Wątpliwa, mała, zgarbiona postać artysty, była kontrastem jego walorów wewnętrznych. Matejko — jako człowiek — był to charakter mocny, ambitny, dążący zawsze i wytrwale do doskonałości; jako artysta zaś miał zamiłowanie do rekordu. Jeśli uchwycił coś w swe ręce, to kontynuował do końca. Jak wszystkim wielkim mistrzom, tak i jemu nie poskąpiła natura głębokiej namiętności. Matejko był uparty i zapatrzony w swą wizję — był „wielkim błędzącym“ i jednym z tych ludzi, którzy szli swoją oryginalną drogą, nie oglądając się ani na krytyków, ani na estetów.

Instynktem artysty czuł i rozumiał, że malarstwo jest sztuką, musi mieć maksimum piękna i doskonałości, a służyć po winno do wyrażenia jakiejś idei.

Wróćmy jeszcze do nauk i wpływów, jakie działały na Matejkę. Skończona Szkoła krakowska, nie dała mu tyle wiado-

mości, ile było potrzeba do zaspokojenia jego geniuszu. Celem bliższego poznania sztuki wysoce kulturalnego Zachodu, jego arcydzieł i wielkich kompozycji malarskich Rubensa, Tycjana i innych, wyjeżdża Matejko za granicę. Pobyt w Monachium, krótkie studia w Akademii Wiedeńskiej, wywarły na nim wpływ deprymujący, który jak złowrogi demon jego sztuki błąkać się będzie przez całe jego życie i twórczość. Tylko dzięki temperamentowi rasowego malarza zawdzięcza Matejko to, że przezwycięzył obce wrażenia, obcy wpływ i obok nielicznych tylko, słabych zresztą kompozycji, noszących piętno obcości, stworzył dzieła wielkie, pełne ducha polskiego. Otrzeźwieniem dla niego była w r. 1872 dłuższa podróż, w której zwiedził Paryż, gdzie wielki, a dodatni dla jego talentu wpływ wywarły dzieła Eugeniusza Delacroix.

40-letni okres pracy twórczej artysty był przepojony miłością ojczyzny, która kazała mu wskrzesić i uplastyczyć potęgę dawnej Polski. Za jego podszeptem zaklął w swych dziełach dziewięciowiekową duszę historycznej Polski, od zarania dziejów aż do czasów niewoli. Olbrzymi talent i nie mniejsza indywidualność Matejki tworzy arcydzieła rzeczywistości dziejowej i sny historyczne utrwala w dziełach wiekopomnych. Zdziwiającym wprost jest, jak mała, wątła fizycznie postać Matejki może biegać godzinami dziennie po rusztowaniach swej cichej pracowni, w której przyszły na świat takie dzieła, jak: „Grunwald“, „Unia“, „Kościuszek pod Raclawicami“, „Jan Kochanowski i Urszula“, „Stańczyk“, „Konstytucja 3-go Maja“, „Sobieski pod Wiedniem“ i wiele, wiele innych. Nie ma takiego Polaka, któryby nie podziwiał w „Bitwie pod Grunwaldem“ nieśmiertelnego triumfu rycerstwa polskiego, a w „Hołdzie Pruskim“ majestatu i potęgi Rzeczypospolitej. Duma wstępuje w nas, gdy patrzymy na „Batorego pod Pskowem“, radość przepelnia serce na widok „Konstytucji 3-go Maja“, smutek pokrywa twarz na widok „Reytana“. Jaka potęga i piękno, co za moc i siła bije z tych obrazów! Istotą tego, to dusza, szlachetne uczucia i podniosłe myśli, którymi artysta ożywił na pozór martwe płótna.

Matejko był malarzem wszechstronnym. Obok sławy malarza historycznego, zdobył sobie dominujące stanowisko wśród portrecistów. Portrety jego są w każdym calu stylowe i tak dostrojone do całokształtu jego twórczości, że nie sposób zaliczyć ich do odrębnej gałęzi twórczości. Mają one tę samą siłę: czystość w wyrazie, bogactwo materiału psychicznego i wielkie oddanie się osobie i jej indywidualności. Każde odtworzenie postaci świadczy, że artysta dostatecznie wniknął we właściwości temperamentu, charakteru i uwiecznił na płótnie to, co jest najistotniejsze, najbardziej znamienne. Jego zdaniem dobry portret powinien oddać człowieka takim, jakim jest

sam w sobie. Ilość kompozycji portretowych Matejki przekracza liczbę pięćdziesięciu.

Lecz na tym nie koniec. Geniusz naszego narodowego malarza potrzebował wyładowania na większą skalę. Pole do tego znalazł w kościele Mariackim w Krakowie, który ozdabia piękną, do dziś dnia podziwianą polichromią. Oprócz tych arcydzieł pozostawił nam Matejko w spadku liczne rysunki treści najczęściej humorystycznej i dość znaczną ilość szkiców, którymi zwykle poprzedzał swoje wielkie kompozycje.

W czasie 40-letniej pracy twórczej Matejko nie tylko tworzył, ale i uczył tworzyć. „W Polsce — mówił — często, gdzie kamieniem rzucić, to talent, tylko jak brylant nie ozdobiony, trzeba go szlifować, bo nawet największy talent nic nie wart bez pracy“. W myśl tych słów pracuje gorliwie na stanowisku dyrektora Szkoły Sztuk Pięknych w Krakowie nad przygotowaniem Polsce tych, którzy mieli Go w przyszłości zastąpić.

Umarł Matejko stosunkowo wcześniej, bo mając 55 lat, a pozostawił po sobie pamięć tytana owocnej pracy dla swej nieszczęśliwej ojczyzny. Duch jego nigdy nie zginie, a na wspomnienie o nim niejedno serce żywiej zabije.

HENRYK KAJZER

---

## Modny lekarz-twórca San Michele

(O Axelu Munthe'm)

Zapewne nie każdy wie, kim jest Axel Munthe, „człowiek, którym zachwycają się wszyscy krytycy świata“. Zaledwie kilku z nas czytało jakieś z nielicznych jego dzieł. Munthe, to nie literat, mimo, że książki jego rozchodzą się w szalonym tempie w coraz to nowych wydaniach. Książek jego nie trzeba propagować; kto przeczytał choć jedną z nich, wciska ją drugiemu, jako najdroższy skarb. Mówią one same przez się, każda stronica przykuwa czytelnika nie sensacją, opisem samobójstwa lub zbrodni, ale prostotą treści, umiłowaniem świata, zwierząt i ludzi.

Opowiem o tym szczegółowo.

### I.

Axel Munthe, który tak bardzo umiłował wyspę południa, Capri, urodził się w najdalej od niej położonym miejscu, w drugim końcu Europy, w Turcji. Jakie stosunki panowały w domu, gdzie pobierał nauki — nie wiem. Wiem, że był chłopcem niezwykłym. Gdy kiedyś, jako dorosły człowiek znalazł się w zapadłej miejscowości lapońskiej, zbudził go w nocy mały karzeł (Munthe widział go na własne oczy i wierzy w ich istnienie), który przypomniał mu wiele szczegółów jego młodości.

— Twój ojciec był dziwnym człowiekiem — mówił 600-letni karzeł — bił cię często, ale też byłeś nieznośnym dzieckiem. Zdawałoby się mogło, że nikogo nie kochałeś. Chociaż, prawda, kochałeś twą mamkę. Najwięcej trosk miałaś z twymi zwierzętami. W pokoju roiło się od nich. Pamiętasz wieczór... wszystkie węże, ropuchy i szczury łążyły po podłodze, a w twoim łóżku znaleziono cały rzut młodych myszek... Zima była surowa... Po południu zginąłeś i napróżno szukano cię przez całą noc. Z rana leśniczy znalazł cię śpiącego pod dużą jodłą. Wokoło drzewa pełno było wilczych śladów, a leśniczy twierdził, że dzikie te bestie chyba cudem cię nie rozszarpały... Podczas letnich wakacyj... okazało się, że pojechałeś (raz) w nocy na twym ponny na cmentarz wioskowy i włamałeś się do trupiarni. Ze stosu kości ukradłeś czaszkę. Proboszcz powiedział, że to wypadek niesłychany, aby dziesięcioletni chłopiec popełnił tak okropny grzech przeciwko Bogu i ludziom. Matka nigdy tego nie przeboleła. Gospodyni twierdziła, że z czarowała cię mamka...

Munthe widział tego karła mając 27 lat; karzeł powiedział mu wtedy:

— Jesteś jednak dużym dzieckiem, gdyż nie byłbyś mnie zobaczył: tylko dzieci widzą krasnoludków.

Mamy więc ładny obraz jego dzieciństwa.

Bardzo młodo zapisał się Axel na medycynę w Paryżu. Miał zaszczyt być uczniem osławionego przed wojną prof. Charcota. On to wmówił mu, że jest człowiekiem niezwykłym, że powinien studia jak najrychlej ukończyć. Tak pisze o tym: „omyłka profesora kosztowała mnie dużo: przypłaciłem ją bezsennymi nocami i niemal utratą wzroku“. Cały pobyt jego w studenckim pokoju, Hôtel de L'Avenir był niczym innym jak: pracą, pracą, pracą. Ale za to został najmłodszym doktorem medycyny, jaki kiedykolwiek istniał we Francji.

Pracownię otworzył sobie na Avenue de Villiers (Paryż). Pacjentów miał wielu, może nawet za wielu. Od razu stał się „modnym lekarzem“. Czemu to przypisać? „Tak jest, ja miałem szczęście, zastanawiające, prawie niesamowite szczęście we wszystkim, co poczyniałem. Nie byłem dobrym lekarzem, miałem za sobą za szybkie studia, a za krótką praktykę w szpitalu, lecz bez wątpienia byłem lekarzem, cieszącym się powodzeniem. Na czymże polega tajemnica powodzenia? Na wzbudzeniu zaufania. Gdzie rodzi się ono: w głowie, czy w sercu?... Jest to klejnot magiczny, który jedni przynoszą na świat, a drudzy go nie posiadają“ — tak pisze sam o sobie. Dalej ciągnie: „Stałem się „modnym lekarzem“. „Modny lekarz“ może też być dobrym lekarzem, ale najczęściej jest złym... Nie można być dobrym lekarzem, nie odczuwając litości“.

Munthe — to lekarz à la dr Judym z „Ludzi bezdomnych“. Rumienił się, gdy wciskano mu do ręki honorarium, nigdy nie wysyłał rachunków, czym sobie nawet poważnie zraził wielu swoich kolegów. Munthe jest znacznie lepszym psychologiem niż lekarzem. „Miałem zawsze pociąg do wariatów — pisze — i chodziłem między nimi jak między przyjaciółmi. Dlaczego obłąkani w przytułku St. Anne, pieniący się z wściekłości i ryczący jak dzikie zwierzęta, uspakajali się i pokornieli, gdy odpinałem im kaftan bezpieczeństwa i ujmowałem ich rękę w swoją? Nawet profesor zwykł był mówić: „Ce garçon a le diable au corps!“ Równie jest dobrym psychologiem zwierząt i trudno wyobrazić sobie większego miłośnika zwierząt. „Panie doktorze — powiedział mu słynny poskramiacz lwów — minął się pan z powołaniem, powinien pan być pogromcą zwierząt!“ Albo jak wiele mówi pytanie Axela w niebie, z ostatniego rozdziału książki: „Księga z San Michele“: „Powiedz mi, mądry, stary archaniele, dokąd idą dusze niewinnych zwierząt?“

Niedługo siedział Munthe w Paryżu. Zmęczony, przeprowadzony urządził jeszcze dłuższą wycieczkę do Szwecji, Laponii, później na Mont Blanc, która zakończyła się katastrofą. Wiele ludzi spotkał w swym bujnym życiu, po każdym zostawił jakiś ślad, jakieś wspomnienie. Czasami są to historie wprost niesamowite. Wspomniał jest rozdział: „Konwojent zwłok“. Pociągami do Lubeki jechały dwie trumny: szwedzkiego młodzieńca i rosyjskiego generała. Konwojował im pijany garbus. W Lubece, przy ładowaniu na statek zaszła straszna pomyłka. Skutek? Rosyjski generał spoczął na cmentarzu szwedzkim, szwedzkiego młodzieńca wywieźli do śnieżnej Syberii.

To był ostatni pogrzeb, w jakim uczestniczył Axel Munthe. Później przeniósł się na ulubione Capri, przerywając niekiedy słoneczny swój pobyt w San Michele praktyką w Rzymie. Ale o tym napiszę osobno. Tam to powstały jego dzieła.

Znam je trzy i zdaje mi się, że więcej nawet nie napisał. „Księga o ludziach i zwierzętach — to zbiór nowel, rozsianych po gazetach; „Czerwony krzyż i żelazny krzyż“ — to wspomnienia z wielkiej wojny, w której Munthe uczestniczył jako lekarz i ostatnie, najlepsze jego dzieło: „Księga z San Michele“. Munthe pisze po angielsku (tytuły: „Memories and vagaries“, „The red cross and the iron cross“, „The book from St. Michele“). O czym pisze? Najlepiej weź jego „Księgę z San Michele“, przeczytaj dokładnie całe 414 stron, a dowiesz się wiele o człowieku, który tak umiłował świat, słońce, zwierzęta i Capri.

Munthe kocha swoje książki i z przyjemnością o nich wspomina. „Pewien sławny krytyk nazwał moją opowieść księgą o śmierci. Może miał słuszość. Śmierć rzadko ustępuje z mych myśli... Pisząc tę książkę, widziałem przed sobą mych daw-

nych przyjaciół... Skromni to byli i prości ludzie... Stara Maria porta-letter, która przez 30 lat wchodziła boso po 777 fenickich stopniach, przynosząc mi listy, roznosi teraz pocztę w niebie. Mój przyjaciel Archangelo Fusco, zamiatacz ulic z Quartier Montparnasse, zamiata teraz pył gwiazdzisty ze złotych flisów nieba. John, błękitnooki chłopczyna, nie mający ojca, dziecko, które się nigdy nie śmiało, igra teraz wesoło z innymi szczęśliwymi dziećmi w dawnym dziecięcym pokoju Jezuska; nauczył się też wreszcie uśmiechać.“ Tak mile pisze w przedmowie. Munthe nie zasłynął wcale jako lekarz, choć miał po temu zdolności (nawiasem dodam: był bardzo biegły w hipnozie), nie zasłynął też jako literat. Zasłynął tylko jako... człowiek.

(c. d. n.)

TADEUSZ RAJSKI

---

## Judicium

Odprowadzono ich wszystkich szeregiem dalekim, długim, wzdłuż tłumnej, szarej ulicy. Wynędniali, w połatanych łachach patrzyli tępo na wieczorne, oślepiające blaski wielkiego miasta...

Milczącym wzrokiem gonili te błyszczące ogniki, ogniwa potężnej, cywilizowanej ludzkości, te rozgrzane tłumy i tysiące spojrzeń wlepionych w daleki szereg.

Cóż było w nich samych godne widzenia?

Wybladłe, osmutniałe twarze, zbłukana młodość niewiadomo za czym popędem, uwiadła, jak jesienny kwiat za cudzą namową i przykładem, całe te sylwetki drżące, skulone, prowadzone przez zielonych strażników i nic więcej, nic więcej...

Szaleńczy tłum wyl za nimi stekiem przekleństw i wyrzekan.

— Dostały się draby!...

— Takie to młode jeszcze, a już człeka potrafi okraść i oszukać!!

— Oto poziom kultury i cywilizacji w dzisiejszej dobie postępu!

Oburzył się jakiś pan z lśniącym szapoklakiem.

— Hołota jeszcze grasuje!

— Na ten przykład, jośnie ponie, — jo bych radziła, co by te psiewiare już roz... znikła!!.. Niechby jich...

— Diabli wzięli! — gorączkowo zawołał urzędnik z wygoloną na łysinę głową.

A te potępiające, okrutne słowa wbiegały do ich uszu, serc i dusz i jak karabinowe kule raniły młodzieńcze, niewygasłe jeszcze ognisko uczuć, budząc wielką, czarną nienawiść.

...Szli na zakopcony szarymi obłokami dymów dworzec, by stąd odjechać w niepewną dał, do jakiegoś tam zakładu, jednego z tych wielu dla nieletnich przestępców.

Ach! Boże! Gdzieby to któryś z nich przypuszczał, że dziś w taką uda się drogę! Ze życie pójdzie właśnie takim krwawym bolesnym torem!...

W obszernym hallu dworcowym ścisk nie do wytrzymania. Popychani przez napierającą ciżbę, dostają się na jasne, świetliste perony. W zamęcie i tłoku, w złorzeczeniach i przekleństwach żegna ich ktoś salwą męskich głosów.

Kto?

Tragiczna rzeczywistości! Żegnają ich jakieś blade twarze, przebiegłe spojrzenia, współkoledzy „po fachu“, starzy już, doświadczeni...

Okazują im litość wtedy, gdy tłum wyje orgię bezmyślnych złorzeczeń, jadem przyrodzonej nienawiści...

Żegnają ich tylko, ci jedni:

— Cóż to? Nie uściskacie się choler....!

Trzymamy „sztamę“.

A ino niech cie tam nie „przeką“ w tym instytucie „policajów“!

— Bądź zdrow! Bądź zdrow! Bądź zdrow!!!

I jeszcze ostatnie: — Nie zmarnujcie się!!!

...Mamuś! A dlaczego „oni“ nic nie rozmawiają ze sobą? Tak długo już jadą! Powiedz mi!

— Widzisz dziecko, muszą być smutni!

— Bardzo bledziutcy... prawda mamusiu? Jak Janek był chory, to też był taki blady, nic nie mówił, nie. A potem zasnął i już go nie było nigdy...

— Janek! Boże! Kochany, mały Janeczek! Śpi w czarnej mogiłce. Pamiętasz? Sadziłaś kwiatki na wiosnę, ponsową astry.

— Pamiętam! Mamusiu! Mamusiu! jak żal mi, tak bardzo żal tych zbladłych zsiniałych twarzy!

— I mnie ich żal, dziecko! — Bo to są także ludzie, tylko... że... że bardzo... biedni... Każdy z nich — to także c-z-ł-o-w-i-e-k!!!

Uśmiechnęła się zwiędłym uśmiechem, spojrzała na małą główkę dziecka. Tyle doznała już krzywd od rozrosłego w cywilizacji i kulturze świata, tyloma pletniami schłostało już ją życie, że cierpiała razem z niedolą innych.

A mała dziewczynka poddawała pod sąd własnego „rozumka“ pytanie: Kto winien?...

...że są ludzie i tacy, tacy smutni...

Reising Ryszard

# Listy

Patrzyłem w bliskie niebo  
i często tęskniłem:  
listy, listy, listy,  
małe, zgrabne, miłe...

— — — — —  
pisałem:

„słońce też ze mną płacze  
chmury boleść rozdziera,  
nocą wychodzę i patrzę:  
gwiazd milionów wiele,  
jedna jest przecież twoja,  
ta mruga do mnie i szepce,  
choć wszystkie mnie się boją  
jedna nie mówi: nie chcę,  
w błękitach widzę twe oczy  
i bladą, smutną twą twarz,  
widzę jak w niemym zachwycie  
patrząc na niebo trwasz...  
widzę...  
żegnaj! (słowo dość twarde!)  
już muszę kończyć

— — — — —  
dostałem odpowiedź:

„..... !  
serce me pełne jest smutku,  
jesteśmy tak daleko,  
choć przestrzeń dla serc jest malutka  
tęsknota nie ucieka...  
... co w sercu mym się dzieje?...  
... a co się w nim ma dziać? ...  
serdeczne pozdrowienie

.....  
Tadeusz Rajski

---

## Kamień węgielny

Dookoła powstającej świątyni gromadzą się tłumy publiczności. Wzdłuż głównej nawy stoją nieprzeliczone pocztysztandarowe; duchowieństwo i władze poszły witać Ks. Biskupa. Od czasu do czasu słychać nadawane przez megafon informacje ks. Leciejewskiego.

Wkrótce rozlega się śpiew: „Ecce sacerdos magnus“ i do środka potężnych murów wchodzi Jego Eminencja, przybrany w lśniącą mitrę i kapę, z pastorałem w ręku. Z jego twarzy



bije majestat i radość Chrystusa, miłość dla swych owiec i troska o ich dusze.

Z przyszłej ambony winszuje ks. dziekan Piszczygłowa społeczeństwu ostrowskiemu tak szczerego serca i otwartej dłoni, co nie wahały się zaczynać tak wspaniałego dzieła. Przecież nie dla kogoś, ale dla siebie budują kościół, który będzie ich własnością, ich chlubą, ich szczęściem.

Po chwili czyta ks. prob. Płotka akt poświęcenia kościoła, który będzie zamurowany po lewej stronie prezbiterium.

Następuje najważniejsza chwila: poświęcenie zimnych i obojętnych murów, które staną się narzędziem i naczyniem Pańskim, służącym do szerzenia królestwa Chrystusa w sercach ludzkich. — Odmawiamy litanie do wszystkich świętych i wnet rozlegają się miłe, słodkie słowa Duszpasterza.

Cieszy się razem z nami, ufa z nami, że święty Cudotwórca Antoni w dalszym ciągu poprowadzi zaczęte dzieło, po błogosławi nam na szary, codzienny trud.

Powietrzem wstrząsa potężne: „My chcemy Boga!“ A mamy prawo tak śpiewać, bo to, co mówimy wcielamy w czyn: budujemy przybytek Pański. H. Kamiński

---

## Typy religijne wśród uczniów

(Redakcja artykułem niniejszym otwiera dyskusję na łamach „Promienia“).

Na samym wstępie nasuwa się pytanie, czy już na terenie gimnazjum można mówić o sposobach podejścia uczniów do zagadnień tak poważnych jak religia?

Odpowiadam: tak!

Jesteśmy młodzieżą! Mamy w sobie olbrzymie zasoby polotu, i dążenia do prawdy, co zdolne jest wywołać u nas przebogate i przepiękne życie duchowe a zarazem religijne. Spytam teraz czy i w jaki sposób korzystamy z tych nagromadzonych skarbów?

Wśród uczniów religijnych rozróżniam trzy typy. (Zastrzegam sobie jednak, że podział ten wprowadzam wyłącznie na podstawie własnych obserwacji).

Pierwszy typ, to młodzieniec spokojny, cichy, opánowany, którego nic nie może wyprowadzić z równowagi. Nie ma on zbyt dużo polotu w sobie, lecz jest niezwykle uczynny i uprzejmy w towarzystwie. Uczynność ta nigdy jednak nie dochodzi do przesady. Jest bardzo systematyczny i pilny w pracy, nie lubi się dużo rozwódzić nad omawianą rzeczą, nawet gdyby mówiono o religii, słucha natomiast chętnie, gdy ktoś inny o niej mówi szczególnie, gdy mówi z zapałem. Nie wynika z tego bynajmniej, by hołdował takiej maksymie, że, ponieważ stosunek ilościowy uszu do ust równa się jak 2 : 1 to powinien słu-

chać a nie mówić, lecz wynika to raczej z tego, że jego dusza odczuwa potrzebę idealizmu a nie jest go w stanie sama w sobie wzbudzić.

Układ rysów jego twarzy jest zawsze ten sam, zawsze ta sama pogoda; skłonny jest nawet do wesołości i lubi wtedy dowcipkować, choć żarty jego są zazwyczaj kiepskie. Mimo, że jest głęboko religijny i niezachwiany w swych przekonaniach, nie jest jednak zdolny do ascety, do całkowitego przeniesienia się w sfery pozaziemskie. Najcharakterystyczniejsze jest to, że poświęca dużo czasu na modlitwę. Ten fakt sprawia, że wartość jego stokrotnie się potęguje, gdyż jest pewność, że łatwiej nawróci grzesznika, niż zepchną z dobrej drogi szczerze modlącego się młodzieńca. Z modlitwy bierze on pociechę, pomoc i zachętę do pracy, w modlitwie też dziękuje za to, co już otrzymał.

Drugi typ, to młodzieniec z temperamentem żywym, pełen polotu, idealizmu, który może nawet przekształcić się w mistycyzm. Największą przeszkodą dla niego jest brak konsekwencji w dążeniach i często brak silnej woli, choć zawsze usiłuje ją wzmocnić. Nie znosi połowiczności w swym zapale dochodzi zwykle do krańcowych poglądów i wypowiada zdanie, które gdyby spełnił, zostałby z pewnością jeszcze za życia więtym. Jest doskonałym materiałem na ascetę, mało dbając o rzeczy ziemskie i łącząc w sobie prosty tryb życia z chęcią poświęcenia się dla drugich. Umie opowiadać barwnie i zajmująco, do czego dopomaga mu jego bogata wyobraźnia. Ma w sobie dużo pierwiastka marzycielskiego i często w chwilach zadumy widzi siebie oczyma wyobraźni jako działacza i reformatora. W takiej chwili podświadomość przychodzi u niego do głosu i wtedy snuje on wyidealizowane wizje przyszłości. Często ma uczucie całkowitej pogardy dla rzeczy doczesnych, ziemskich, co jest powodem rozmaitych przykrych zajęć w obcowaniu z ludźmi. Wyraz twarzy, zazwyczaj zamysłowny, odbija jednak doskonale jego nastrój wewnętrzny. Gdy spotka go jakiś cios, zamyka się raczej sam w sobie, nie wypowiadając się nawet przed Bogiem w modlitwie. Często kontemplacja, skrytość a zarazem żywość w obejściu to główne jego cechy. Trzeci wreszcie typ, to młodzieniec, na którego musi ktoś silnie oddziaływać, który sam bez tej osoby nic by nie znaczył. Skutkiem rozmowy z nią zapala się łatwo, lecz prędko zniechęca się, jak zniechęcają go również wszelkie niepowodzenia w przedsięwzięciach, co jest kontrastem 2-uch poprzednich typów. Z czasem, przy usilnej pracy nad sobą, może z niego być sumienny, obowiązkowy i pilny podwładny, bo na organizatora i inicjatora myśli twórczych on się raczej nie nadaje.

Dla ogólnej syntezy dodam jeszcze, że 1-y i 2 - gi typ są jakby stworzone do współdziałania, gdyż wzajemnie się uzu-

pełniają; 3-ci zaś ma bardzo mało stałych przedstawicieli i jest raczej typem przejściowym do 2-ch poprzednich.

Stanisław Jaś, II kl. lic. klas.

## „Woda ciężka“

Ucząc się o wodzie na jednej z lekcyj chemii przypominałem sobie o „wodzie droższej od złota“! Chciałbym więc podzielić się wiadomością z innymi.

W roku 1935 dokonano wielkiego odkrycia w słynnych zakładach „Imperial Chemical Industries“ a mianowicie: trzech sławni chemicy amerykańscy Urey, Brickwedde i Murphy, podczas dokonywania koncentracji wody za pomocą elektrolizy, a następnie sprawdzania doświadczeń za pośrednictwem widma spektralnego, zauważyli w spektroskopie jakieś nieznanne dotychczas linie widma. Woda, której użyli do doświadczeń, była chemicznie czysta. Ponowili doświadczenia i znowu zaobserwowali obecność „czegoś“ nieznanego w zwykłej, destylowanej wodzie.

Natychmiast przystąpili do dalszych doświadczeń, pragnąc to coś „nowe“ wyeliminować. Kilkuletnie badania zakończyli wynikiem dodatnim. Ze zwyczajnej wody dobyli oni wodę o innym ciężarze gatunkowym, mianowicie t. zw. dziś „ciężką wodę“ — denterium ornyd.

Obliczyli oni, że ilość „ciężkiej wody“ w wodzie zwykłej wynosi jedną trzydziestopięciotysięczną. Wyeliminowanie „wody ciężkiej“ ze zwykłej kosztuje jednak bardzo dużo (na wydobycie 1 l. zużyto prądu elektrycznego za 10 000 funtów szterlingów). Litr takiej wody kosztuje „tylko“ 80 000 f. szterlingów, czyli około 800 000 zł.

Wraz z odkryciem „wody ciężkiej“ otworzyły się całkiem nowe horyzonty. „Ciężka woda“ zjawiała się na niebie chemii jak niespodziewany i ważny meteoryt. „Woda ciężka“ zamarza w temperaturze — 3°8', a wrze w 101°4' C.

„Woda ciężka“ będzie (według orzeczeń uczonych) prawdziwą „wodą życia“. Niszczy ona bakterie, nie działając szkodliwie na nasz organizm, nawet przeciwnie; posilając się nią (w odpowiednich dawkach) będziemy mogli przedłużyć nasze życie o kilkanaście lat.

Doświadczenia z „wodą ciężką“ trwają bez przerwy. Otrzymano z niej nowy cukier. Uczni chcą wydobyć z niej alkohol i benzynę.

„Woda ciężka“ jest wszędzie, tylko w niejednakowym stopniu. Wyjaśniono zagadkę morza Czerwonego, na którego fałach można utrzymać się bez potrzeby ruchu, a mianowicie sprawdzając procent zawartości soli stwierdzono, że nie różni

się on wielce od procentu nasolenia mórz, lecz, że procent „ciężkiej wody“ w tym morzu jest znacznie wyższy.

Uczeni pracują nad nowymi, tańszymi metodami uzyskania tego płynu. Może nadejdzie czas, że geologowie będą poszukiwać nie złota, nie ropy naftowej, nie węgla czy rud żelaza, lecz „wody ciężkiej“...

Marian Dolata, lic. mat. fiz.

## Spójnia

Dumania mi się czasem  
Po głowie senne włoką...  
Ponad urojeń lasem  
Ścieżką mgłą omotaną —  
Kroczą daleko, szeroko  
W huczące, zimne rano...  
A dłoga ich tak długa,  
Jak rozełkana jesień  
Pochmurnych dni różaniec,  
Płacząca wciąż szarugą...  
Wicher, co w niebo rwie się  
I obłąkańczy tańczy taniec...

Zaczarowane pałace,  
W świetlanej szczęścia tęczy  
Zakwitły dzisiaj dla mnie...  
...Lecz po co to, i na co?...  
Zawyje ból, zajęczy,  
Złudne kry załamię...  
Ból, smutek, żal, tęsknota:  
Cztery siostrzyce bratnie —  
Chichoczą drzew szelestem. —  
W kałużach płamy złota  
W zdradziecką wpadłszy matnię  
Wołają jeszcze: „Jestem!“

Jak ciche to wołanie  
Na deszczu zawieruchę,  
Co chore piersi targa  
Nędzarza: „O! Mój Panie!  
Życie jak listek kruche!“  
Spękana szepce warga...  
Dumania, o, dumania!  
Za błękitami boje!  
Czyż wolno marzyć, dumać,  
Gdy nędza płacze łzami!  
Perlistą łez kaskadą?

Wyjść do zbiedniałych tłumów,  
„Jesteśmy odtąd z wami!“

— My ludzkość — braci gromada!!!... Reising Ryszard

# Tadeusze w literaturze

Tadeuszom na imieniny  
T a d e u s z .

Wśród miliardów liter zatopionych w szerokim morzu polskiej literatury, spotykamy takie, które grupują się w krótki wyraz: TADEUSZ. Niekoniecznie musi to być stale powtarzający się „Pan TADEUSZ“, bo możemy spotkać to słowo, jako imię autora utworu literackiego. A autorów o tym imieniu spotykamy dość wielu, szczególnie w literaturze najnowszej. Nie są oni wprawdzie tak sławni, jak Słowacki (Juliusz niestety!), lub Mickiewicz (szkoda, że Adam...), jednak w literaturze istnieją i nazwiska ich często odbijają się czarnymi zgłoskami od tła białego papieru.

Do najpopularniejszych w czasach dzisiejszych należy krytyk literacki TADEUSZ Żeleński-Boy, „boyownik“ ostrego pióra. Należy on do czołowych pisarzy Polski współczesnej. Odznacza się aż nazbyt wyostrzonym językiem. Gdybyśmy mierzyli wartość popularnością, na pewno obok Boya, jeżeli nie przed nim (popularność!!!) stanie głośny powieściopisarz sensacyjny TADEUSZ Dołęga-Mostowicz, autor „Znachora“. -- Twórczość Mostowicza zna prawie każdy, chociażby z ekranu kinowego. Za Boyem i Mostowiczem idzie cała plejada „tadeuszowych“ nazwisk:

W naszym zakładzie używaliśmy książki łacińskiej TADEUSZA Sinki, krakowskiego filologa i krytyka literackiego. Literatem tej samej gałęzi, co Sinko, jest dr TADEUSZ Zieliński (członek PAL'u). Warszawa szczyć się może słynnym filozofem Polski, TADEUSZEM Kotarbińskim. Przedstawicielem teatrologii jest TADEUSZ Świątek z Paryża. Świat powieści, (poważniejszej, oczywiście, od Mostowicza) reprezentuje TADEUSZ Kudliński („Wygnańcy Ewy“, „Rumieńce wolności“, „Uroki“...). Niedawno ukazała się powieść TADEUSZA Nowackiego „Na papierowych szynach“. Krakowski „Kurierek“ drukuje komedią polityczną TADEUSZA Konczyńskiego. Dalej przesuwają się przed rozczytanymi oczyma Czytelników czasopism szpaler publicystów, z których „wyłapałem“: TADEUSZA Dybzyńskiego, i TADEUSZA Kuligowskiego.

W ożywionej, unowocześnionej krainie poezji miejsca swoje zajęli: (modny nawet) TADEUSZ Peiper, zakopiański poeta (a zarazem publicysta) TADEUSZ Bocheński, młody TADEUSZ Hollender ze Lwowa, TADEUSZ Szantroch, TADEUSZ Łopalewski... Historia ma na usługach TADEUSZA Szydłowskiego (współautora „Historii Sztuki“). Jeśli chodzi o pióra lżejsze, a nawet lekkie, to takim włada dowcipny felietonista poznański TADEUSZ Hernes.

A więc we współczesnym (najnowszym) świecie literackim TADEUSZY (czy TADEUSZÓW) wcale nie brak i żywe tętno nadają oni temu światu. (Czyż nie lepiej byłoby, gdyby p. Kurek, zamiast dziwnego i nie zrozumiałego imienia: „Jalu“, nosił imię: TADEUSZ?).

GORZEJ jest z przeszłością, w której z trudem doszukać się można kilku TADEUSZY. (Bo chyba, „Uniwersał Połaniecki“ TADEUSZA Kościuszki nie może być uważany za dzieło o jakiś walorach literackich!) Z „przeszłych“ (i to całkiem nie dawno) literatów znalazłem TADEUSZA Romanowicza (współpracownika Adama Asnyka w redakcji „Nowej Reformy“). Na specjalną uwagę zasługują dwaj literaci młodo-polscy: TADEUSZ Miciński, który według Z. Dębickiego, należy do najbardziej pospolitych zjawisk naszej literatury na przełomie wieku 19-go z 20-tym (neoromantyk, powieść, poezja, dramat) i TADEUSZ Rittner, który dał u nas początek literaturze wspomnień z lat dziecięcych (pisarz nowel, powieści, sztuk teatralnych, poezji). Z nieco „dawniejszych“ literatura wspomina TADEUSZA Czackiego (Krzemieniec!) opiekuna poetów krzemienieckich. Oni to uwiecznili go w swych utworach.

Spoglądam na ten długi szereg literackich nazwisk w rubryce: imię, i triumfująco dziwię się, że dawny filar „Promienia“ — Szczublewski, wyraził się w liście do mnie: „TADZIKU! Fe! Takie imię! Jak można!...“

P. S. Literackie nazwiska: TADEUSZ Rajski i TADEUSZ Dolata, patrz „Parnas młodo-ostrowski“ w tym numerze „Promienia.  
Tadeusz Z. O. Nabzdyk.

---

## / Rycerze łopaty

(Przedruk z „Jednodniówki J. H. P.)

W szlacheckiej Polsce utarło się zdanie,  
Ze waga, lemiesz pohańbią rycerza;  
Człowiekiem leniuch zwan bywał, mospanie,  
Chociaż do zguby swej ojczyzny zmierzał.

I dziś to zdanie znajdzie zwolennika,  
Lecz je zniweczyć musimy my młodzi!  
Niech przez nas w naród to hasło przenika:  
„Tytanom pracy zawsze się powodzi!“

Niech o nieróbstwie zczeźnie myśl przeklęta!  
Stwardniałą dłonią gubmy ją w zaczątku:  
Bo praca była jest i będzie święta  
Jak człek człowiekiem jest wciąż od początku.

Umiejmy pracę humorem osłodzić,  
Kochajmy pracę my, junackie chwaty  
I już zasłużmy, choć jeszcze tak młodzi  
Na szczytne miano: „Rycerze łopaty“!

Mł. jun. z c. Stanisław Zyhala, 6 komp.

---

## Kolumb

P. prof. Błaszczakowi — poświęcam.

Patrzył w dal siną z nachmurzonym czołem  
A okręt leciał pustynią bez brzegu  
(Jakby był chyżym w obłokach sokołem),  
Grzbiety skłębionych bałwanów tnąc w biegu.

Tłum marynarzy stał groźny i niemy,  
Jeno się pięści sękatę zwierały  
I tylko szeptał ktoś: „Wszyscy zginiemy,  
Groblem nam będą dna morskiego skały!“

Okręt wciąż pędził z wichrami w zawody,  
Jak statek - widmo, postrach marynarzy,  
Bryzgając wkrąg fontanną słonej wody.  
A Kolumb milczał; lecz na jego twarzy

Taki blask gorzał, jak, kiedy na gwiazdach  
Wzrok wsparłszy, szukał bożego natchnienia;  
Wtem krzyknął majtek z bocianiego gniazda:  
„Ziemia!!“ i wszyscy powtórzyli: „Ziemia!!“

I wszyscy wzrok swój utkwili w oddali  
I sternik płakał ze szczęścia sędziwy...  
A okręt leciał wciąż w dal, kędy z fali  
Ład się wynurzał, spowity w mgłach siwych.

SZABOWSKI HENRYK

---

## OD WYDAWNICTWA

Zwracam się do wszystkich Czytelników „Promienia“  
z prośbą o przejrzenie swych zbiorów tego pisma i od-  
danie Wydawnictwu za odpowiednim wynagrodzeniem  
nast. numerów „Promienia“:

Rok 1933/4 - IX r. Wydawnictwa — nr 5,

Rok 1934/5 - X r. Wydawnictwa - nr 4, —

Rok 1936/7 - XII r. Wydawnictwa - nr 4, —

Rok 1937/8 - XIII r. Wydawnictwa nr 4.

Kier. Wyd.

# „Parnas“ młodo-ostrowski

(COŚ Z LŹEJSZEJ MUZY)

Wszystkie Warszawy, Krakowy  
Mają swoje „wyższe“ głowy,  
Wszystkie „wyższe głowy“ zasię  
Siedzą na górnym Parnasie.  
Taki Parnas jest w Ostrowie  
I „Promieniem“ dziś się zowie.

A w tym „promienistym“ kraju  
(Sławni ludzie już mieszkają:  
Mamy całą nazwisk stertę)

Pierwszy, czytam, R a j s k i — E r t e  
(Wielka, ważna to persona,  
W szumny tytuł przystrojona;  
Tym tytułem jest de facto  
Godność: Naczelny Redaktor).

Dalej, masa nazwisk leci.  
To zapewne są poeci!  
Tak, jam już ich wiersze słyszał...  
Bo znajduję: R e i s i n g R y s z a r d  
(Łzy, blaski, liryzm, liryka  
W jego dziełach się zamyka).

Teraz spada, gdzieś z chmur może  
Górnolotny F e l i k s O r z e ł.  
(Wciąż chce znaleźć duszy życie.  
Z niego wielki jest marzyciel!)

A ze starszych zaraz po nim  
Idzie K o n i e c z n y H i e r o n i m;  
(To samotny jest poeta,  
On przyjaciół nie ma, gdzie tam!)

Jeśli już o starszych mowa,  
Wspomnę o tym, który chowa  
W swych kieszeniach pełno chwały.  
(Chwały wiersze mu napchały.  
On dba o „moderną“ Muzę!)  
Imię mu S z c z u b l e w s k i J ó z e f.  
Winien być tu wodzem samym,  
Lecz już wyszedł poza... ramy!



Przy Szczublewskim zawsze stała  
Znana postać: Stan. Zybała.  
Jego także już tu nie ma.  
(Szkoda! Takie miał poema!)

Nad wszystkimi zaś góruje  
„Pani Wesołości“ wujek,  
Grzela nie poznamy z tremą,  
Czyli Ożegowski - Przemó.

W literacką wkłada pracę  
Swoje siły pan Zwyk — Jacek  
Jasińskim zwany inaczej.  
(Proszę w jego wiersze patrzeć!)

Także lekkie satyr żądło —  
Ma w swej służbie dłoń porządną,  
Jeśli dowcip. ach! „W to graj mu!“  
Bo to jest Fiksiński Rajmund.  
(Znamy tego „przyjaciela“  
Pod pseudo Addis-Adela.)

Publicystyki zaś sprawa  
U Majchrzaka Stanisława.  
(Jemu trzeba brawo walnąć,  
Bo dał sztukę teatralną!)

Teraz z innej beczki zacznę.  
Przedstawię osoby znaczne,  
Zmodernizowane troszkę:  
L. Hołdowski i K. Woschke.  
(Kurtynę nieco odwinę:  
Zgłębiają chemii dziedzinę  
I rozprawy naukowe  
Wyrastają pod ich słowem.)

Jeszcze wskażę dwie Dolaty,  
(Jakże język ich bogaty!)  
Tadeusz — człowiek techniki,  
Mariana — pisma, wierszyki.

W końcu wspomnę o kimś jeszcze,  
Który pismo chwycił w kleszcze.  
Pisze wiele, skromnie, dumnie...  
I zaznaczam, że on u mnie  
Z nich największe ma znaczenie,  
Mówię o... Te.Zet.O.eNie!

Tadeusz Z. O. Nabzyk

## Pochodzenie sztandaru trój-kolorowego

13 lipca 1789 dzieci sprzedawały na ulicach Paryża kokardy czerwone i niebieskie, wołając: „Oto wstążki narodowe, kupujcie wstążki narodowe“. To były kolory Paryża. Nazajutrz po zdobyciu Bastylji, chcieli je mieć wszyscy Paryżanie, i mężczyźni i kobiety. Kobiety przypinały je do czepków, i robiły to samo z kapeluszami i pantoflami na modę „narodową“.

17 lipca, kiedy Ludwik XVI przybył do ratusza, burmistrz Paryża, Bailly, podał mu klucze, mówiąc: „Panie, oto klucze waszego dobrego miasta Paryża“. I dorzucił: „Czy Wasza Wysockość zechce przyjąć tę kokardę czerwoną i niebieską, odznakę Francuzów“. Ludwik XVI wziął kokardę i przypiął ją przy boku kokardy białej, odznaki królewskiej, którą nosił na kapeluszu.

W ten sposób: niebieski, biały i czerwony stał się kolorem ojczyzny Francuzów.

La Fayette, mianowanemu generałowi milicji miejskiej ofiarowano nową odznakę, mówiąc: „Weźcie tę odznakę, ona obiegnie cały świat“.

W r. 1792 stary sztandar armii został zastąpiony przez sztandar trój-kolorowy.

L. ROGACKI.

---

## Legion cudzoziemski

Legion cudzoziemski jest rozproszony w całym Marokku. Pokrywa on kraj placówkami i drogami. Są to wojownicy i pracownicy, żołnierze i pionierzy zarazem; legioniści pozwalają Francji wniknąć w kraj, budować miasta, porty, tunele, drogi i mosty. Legion otwiera zdobytemu krajowi drzwi do administracji, handlu i cywilizacji Francji.

Człowiek, który zaciągnął się do Legii, zapomina swego nazwiska i o swej przeszłości. Przybiera nowe imię: jest legionistą. Lecz kim on był w cywilu? Czy był on winien przestępstwa? Czy był księciem, bankierem, wieśniakiem, robotnikiem lub gangsterem?.... Mniejsza o to. Skąd przybył? Z Polski, z Rosji, z Niemiec lub z Ameryki? Nikt go o to nie pyta. Jego uniform legionisty jest schronieniem. Twarda egzystencja legionisty, w tym kraju pieczonym przez słońce, pośród tysiąca niebezpieczeństw, zrobi z niego człowieka, który będzie dumny ze swego sztandaru i swego zawodu. Jego hasłem, wypisanym na sztandarze, jest: „Honor i Wolność“.

Z. ROGACKI.

## De fiducia sui

(Pewność siebie)

Karolek czuł się prawdziwym literatem. Jego pisarskie upodobania, które już od kilku lat znajdowały swój wyraz na papierze, napawały go potężną dumą. Będąc bardzo energicznym zarazem niecierpliwym młodzieńcem, z niesłychaną werwą fabrykował jeden utwór za drugim, tak, że nieprzerwana fala tych utworów zalewała szufladę biurka, które wydobył nie wiadomo skąd, dla dodania powagi swoim chwalebnyim zajęciom. Pisał więc ciągle i dużo, i dlatego też, gdyby go uznano, mógłby należeć do najznakomitszych pisarzy współczesnych. Gdyby go uznano... Niedawno właśnie porzysłał swoje utwory do kilku krytyków i literatów z prośbą o nadesłanie ocen tych utworów. I dzisiaj otrzymał aż cztery odpowiedzi.

Z pewną powagą rozdarł wszystkie koperty jednocześnie i czytał:

Pierwszy literat pisze: „...Utwory „Pan Ireneusz“, „Baby“ i „Akordeon“ jeszcze zbyt słabe. Nie nadają się do publikacji...”

— Jeszcze zbyt słabe! Powiedział wprawdzie „zbyt słabe“, ale zaznaczył: „jeszcze“, a więc spodziewa się w przyszłości poprawy i postępu. Jednak już wyczuwa mój rozwijający się talent...”

Następny list: „Wiersz „Soból nad wanną“ jest do niczego. Jako redaktor pisma literackiego, utwór rzuciłem do kosza redakcyjnego“.

— Ah! Ten zapewne w ogóle nie zna się na literaturze. Zobaczymy, jak kiedyś będzie wydobywał mój wiersz ze czią z swego podłego i plugawego kosza.

Teraz już z wystygłym nieco zapalem Karolek spojrział na list trzeci:

„Stwierdzić muszę, że utwór filozoficzny p. t. „Głębia myślenia“ jest stanowczo zbyt płytki i całkiem bezmyślny. Radzę nie zgłębiać się w takie płycizny. Co do rozprawki socjologicznej, zatytułowanej „Czy ludzie karani prawem, mają prawo do upominania się o swe prawa“ to samo, co o „Głębi myślenia“...”

Karolek pomyślał z politowaniem o piszącym tę trzecią odpowiedź literacie: — Prawdopodobnie sam ma tak ograniczoną umysłowość, że nie potrafi zgłębić tej „Głębi myślenia“. Co za głupie rady daje ten p. literat? On, Karol ma zerwać z umiłowaną literaturą? On, czujący się na siłach ożywić cały świat kulturalny? — Karolka ogarnęła dumą, że pisze tak głęboko - myślnie utwory, których nawet uznani literaci nie mogą zrozumieć.

Nad czwartym listem Karolek w ogóle nie zastanawiał się, ale odrzucił go ze wstrętem, jako tendencyjny paszkwil. Bo czyż paszkwilem nie są takie słowa:

„...Wprost śmiać się trzeba z naiwności utworów „Pani z walizką“ i „Lilli wam nie dam...“ Są one paradoksem literatury i świadczą o, że się delikatnie wyrażę, „dziwnym“ autorze“.

Karolek w mgnieniu oka postarał się zapomnieć o listach literatów, nieumiejących go zrozumieć i uznać. Usiadł nad biurkiem ujął ołówek w palce (trzymał zazwyczaj ołówek na zmianę: raz w palcach, raz w zębach, w zębach i w palcach).

Siedział nad biurkiem i nie zbyt gorączkowo szukał w swym genialnym umyśle nowego tematu. Ten brak gorączkowości w szukaniu, pozwolił na to, że Karolek mimowoli oddał się swoim w 0 pct realnym marzeniom:

..Widział zupełnie wyraźnie siebie, otoczonego w przyszłości rojem zachwyconych, nałogowych czytelników, obsypanego pachnącymi wieńcami laurowymi... Jakieś grona mówców wygłaszających płomienne pochwały jego i jego dzieł... Jakieś wspaniałe wydania jego dzieł na kredowym papierze... godności honorowe... pomniki... popiersia... laury... laury... laury...

Karolek wierzy w siebie.

A jacyś tam literaci, podobno prawdziwi, niech gadają sobie, co chcą...

Tadeusz Z. O. Nabzdyk

## KĄCIK NAJMŁODSZYCH

# Na straży granic Polski!

Majowe słońce praży niemiłosiernie. Nad lasem panuje głęboka cisza, przerywana poszumem liści, które drżą od słabego powiewu zefiru. Ucichło ptactwo i głos wszelkiego zwierza, który schował się pod cień rozłożystych konarów. Między drzewami posuwa się strażnik, spocony i jakby blady. Przed nim mknie pies jego „Medor“, który nieraz uratował mu życie. Obaj spieszą na skraj lasu, gdzie w głębokiej dolinie płynie wąska „struga“, zwana pospolicie „Kaczym strumieniem“, miejsce zbornego punktu przemytników. Idzie dziś ociężale. Myśli jego są daleko: przy rodzinie, przy bracie, którego stracił na wojnie i przy matce staruszce. Żał mu jest czegoś, chce mu się płakać i sam nie wie, dlaczego. Ciałem jego wstrząsają dreszcze, boi się czegoś i nie chce iść dalej. Białe krople potu spływają mu po czole. Obowiązek jednak zwycięża i strażnik udaje się w dalszą drogę. Jeszcze tylko kilka minut i będzie na miejscu.

Wtem zauważył, że „Medor“ znikł, zapadł się. Podwoił kroku, prawie że biegł. Stał dopiero przed samym strumieniem. Nie widzi niczego. Wie tylko, że „Medor“ biegnie do niego, cieszy się, że go odnalazł, i chce go schwycić w ramiona, chce się radować. Nie doczekał się jednak tej chwili, bo śmiertelny strzał kłusownika położył jego „Medora“ na miejscu. Pies legł na ziemi i nie podniósł się już więcej. Zwrócił tylko szkliste oczy na swego pana i z piersi jego wydobył się żałosny pisk. Pan jego „zwarłował“, przypadł do niego i nakrył go swym ciałem. „Medor“ zaś zajęczał powtórnie, zaskomlił cicho i z zamykających oczu wypłynęła łza, która padła na rękę pana — oparzyła go. Z lasu wyłoniła się postać zamaskowanego kłusownika, w którego rękę zabłysnął magazynkowy rewolwer, wymierzony w odsłoniętą pierś strażnika. Ten jednak nie zauważył tego. Stał chwiejnie na nogach, gołe ręce wznosił w górę, rzucił błyskawiczne spojrzenie, zamruczał i ruszył jak furia na mordercę. W połowie drogi stanął jednak, oczy mu się zamglily i w lewym boku uczył ostry ból. To ręka napastnika spoczęła powtórnie na cynglu. Rewolwer splunął czterema strzałami w pierś strażnika, który padł na ziemię i począł kopać nogami suchy piasek. Nie męczył się jednak długo. Z sinych ust wyszła najpierw biała piana, a następnie buchnął strumień krwi, która zalała ziemię. Rozczochrana głowa wiernego obrońcy ojczyzny kapała się w swej własnej krwi. Nogi przestały kopać ziemię, usta zacięły się, cała twarz zsiniała i ciało zesztyniało. Szklane gałki oczne wyszły z orbit i załamały się w nich strzelające promienie słoneczne.

Dwaj obrońcy granic ojczyzny spoczywali snem wiecznym na swej placówce, — strzegli granic Polski.

Fąka Marian, kl. II b.

## „Śmierć krążownika“

Po zimnej, ponurej nocy ranek wstał pogodny i ciepły. Słońce już o godzinie piątej wychyliło się z za horyzontu, rozpełdzając nagromadzone na niebie chmury. W powietrzu unosiła się lekka mgła, lecz i ta znikła wkrótce prawie zupełnie. Powierzchnia morza była pofałdowana drobnymi zmarszczkami, utworzonymi przez lekko wiejący wiatr.

Łódź podwodna „U 73“ płynęła przez całą noc i była już teraz daleko na morzu, dziesiątki mil od portu Zeebrügge.

Zegar w centrali wskazywał kwadrans po ósmej, kiedy kapitan Schiller, dowódca nurkowca, rozkazał zatrzymać motory. Chciał bowiem naładować wyczerpane częściowo akumulatory, aby później mieć większą swobodę działania w kanale La Manche. Musiał się bowiem liczyć z tym, że w razie zaatakowa-

nia go przez okręty angielskie w czasie przeprawy przez kanał będzie musiał na czas dłuższy zanurzyć się pod wodę, a jak to zrobić, kiedy nie będzie dostatecznej ilości siły elektrycznej w bateriach. Wypompowano wodę z balastów i łódź wypłynęła na powierzchnię morza. Teraz, upewniwszy się dokładnie, czy na horyzoncie nie widać żadnego okrętu, odłączono silniki spalinowe od śrub napędowych i puszczono w ruch te ostatnie. Elektromotory, obracając się za pomocą motorów spalinowych, ładowały baterie elektryczne. Ładowanie trwało już dłuższą chwilę, gdy nagle z mostu rozległ się krzyk.

— Okręt na horyzoncie!

Jednocześnie w całej łodzi podwodnej rozległy się dźwięki alarmowych dzwonek, wzywające załogę do udania się na swoje stanowiska bojowe. Kapitan, przypatrzwszy się przez potężną lornetkę nadpływającemu okrętowi, kazał natychmiast zanurzyć łódź, aby nie zostać zobaczonym przez ten okręt. Najpierw jednak włączono z powrotem śruby napędowe, wyłączając motory spalinowe, które nie mogły być użyte pod wodą, a w ich miejsce zapuszczając elektromotory. Do zbiorników wodnych wpuszczono wodę i po chwili „U 73” płynęła już pod powierzchnią morza na spotkanie okrętu. Manometr w centrali wskazywał dziewięć metrów głębokości. Przy peryskopie stał kapitan Schiller, pilnie obserwując ruch nieprzyjacielskiego okrętu. Teraz chodziło o to, by zająć jak najlepszą pozycję do strzału torpedowego. Kilka obrotów koła sterowego i „U 73” gotowa jest do ataku. Szybkość własna zredukowana do minimum. Łódź jest zwrócona dziobem do przypuszczalnej linii kursu coraz bardziej zbliżającego się okrętu. Torpedy załadowane w wyrzutniach czekają na chwilę, w której będą mogły pomknąć ku nieprzyjacielowi, niosąc mu śmierć i zagładę.

Okręt jest już bardzo blisko. Kapitan Schiller widzi przez lekko wynurzony peryskop trzy wysokie kominy, niższą od nich przednią wieżę obserwacyjną, a nawet banderę powiewającą na gaflu. Z radością poznaje, że jest to bandera angielska. Po budowie okrętu poznać można było, że jest to większy krążownik lub nawet krążownik pancerny. Przy burtach stoją marynarze, rozmawiając i śmiejąc się bez troski. Cieszą się, że za kilka godzin zawiną do portu, gdzie czeka ich kilka dni wypoczynku. Nie myślą w tej chwili o możliwości napadu łodzi podwodnej. Są zbyt pewni, że tu, tak blisko rodzinnej Anglii nie może kryć się żaden nurkowiec nieprzyjacielski. Lecz za chwilę okaże się, że jest inaczej. Wielu z nich nie zobaczy już nigdy ojczyzny. Kilkaset matek będzie płakało, przeklinając „boszów” i wzywając na nich pomsty Bożej.

Tymczasem w „U 73” kapitan Schiller krzyczy do tuby przekaźniczej:

— Aparaty dziobowe gotowe?!

— Gotowe! — pada odpowiedź porucznika Korra, dowódcy torpedystów i zastępcy kapitana.

— Uwaga!...

W tej chwili dziób wielkiego krążownika zaczął mijać linię strzału, oddalony od zanurzonej łodzi podwodnej zaledwie czterysta metrów. Kapitana ogarnia lekkie zdenerwowanie. Sekundy oczekiwania zdawają mu się godzinami. Wreszcie, widząc, że środek krążownika pokrywa się z punktem oznaczonym na obiektywie peryskopu, rzuca w tubę wyzwalający rozkaz:

— Wyrzutnie pierwsza i druga ognia!!...

Dwie długie torpedy wypadły z wyrzutni i z całą siłą swych motorów pomknęły ku krążownikowi. Łódź drgnęła, dziób podniósł się trochę.

— Zrównoważyć torpedy! — rozkazał kapitan do kabiny torpedowej. — Głębokość piętnaście metrów!

Dziób wrócił powoli do dawnego położenia, zrównoważony wpuszczoną w miejsce torped wodą. Jednocześnie, posłuszna rozkazom dowódcy, łódź zaczęła pogrążyć się głębiej.

— Motory stop!

„U 73“ staje, opuszczając się tylko. Już nic nie widać w peryskopie, albowiem łódź jest tak głęboko, że woda zakryła górny jego koniec.

Na krążowniku angielskim zobaczono dwie białe smugi na wodzie, z błyskawiczną szybkością zbliżające się do okrętu.

Torpedy!!!

Szybkie dzwinki trąbki alarmowej rozlegają się po całym okręcie. Marynarze z krzykiem biegną na stanowiska bojowe. Na mostku kapitańskim, otaczającym kabinę nawigacyjną, stary, siwy już kapitan spokojnie wydaje rozkazy:

— Maszyny całą naprzód! Ster na prawą burtę!

Lecz już żadne, choćby jak najprędzej i jak najlepiej wykonane rozkazy nie uratują krążownika od torped. Kapitan widzi z góry, że jedna torpeda jest już zaledwie o kilkanaście metrów od lewej burty. Sekunda i nagle rozlega się potworny huk.

Torpeda dobiegła do celu!

Okręt momentalnie chylił się na lewą burtę. Przez ogromną wyrwę w kadłubie wdzierają się do wnętrza tonny wody.

— Zalać przedziały równoważne prawej burty! — komenderuje kapitan do hali maszyn.

Przed nim, na dużej tablicy rozdzielczej gasną i zapalają się różnokolorowe żarówki. Z tub głosowych słychać meldunki z różnych części okrętu.

— Przedziały lewoburtowe zalane!

— W drugiej maszynowni woda! Pompy nie działają!...

— Hallo! Tu komory amunicyjne! W drugiej i trzeciej komorze woda!... Co robić?!...

Rozpaczliwe zapytania „co robić“ powtarzają się raz po raz. Okręt wprawdzie wyprostował się trochę, równocześnie wpuszczoną specjalnie do kilku komór po prawej burcie wodą, lecz mimo to, napływała ona stale przez wyrwę w lewej. Kapitan zrozumiał, że to koniec. Po chwili wahania daje znak trębaczowi. Ten podnosi trąbkę do ust i gra szybko sygnał „wszyscy na pokład“. Jeszcze nie przebrzmiały ostatnie dźwięki słyszane we wszystkich kabinach i pokładach, kiedy marynarze rzucili się ku drzwiom. Dotychczas, czując, że podłoga pod ich stopami przechyla się powoli lecz ciągle, chcieli uciekać i tylko surowe rozkazy oficerów nakłoniły ich do pozostania na posterunkach. Teraz porzucili wszystko i jeden przez drugiego pchali się do żelaznych drzwi. Przy wyjściach na pokład utworzyły się istne zatory z ciał ludzkich. Nikt nie zwracał uwagi na wydobywające się z tub głosowych słowa kapitana, nawoływujące do zachowania spokoju i porządku. Nie słyszeli ich marynarze, którzy pracując w głębi okrętu nie wiedzieli jak przedstawia się obecna sytuacja i myśleli, że w każdej chwili pójdą na dno razem z okrętem, z którego wydostać się nie będą mogli. Kiedy jednak wybiegli na pokład, zobaczyli, że okręt, chociaż mocno zanurzony, nie utonie tak szybko. Na rozkaz oficerów ustawili się sprawnie przy burtach, po kolei wchodząc do łodzi ratunkowych. Trzy z nich, po brzegi wypełnione marynarzami zjechały na linach na morze. Po chwili opuściły się dalsze dwie. Wszystkie popłynęły szybko na zachód, starając jak najdalej oddalić się od tonącego okrętu. Inni marynarze, którzy nie zdążyli zejść do łodzi, skaczą wprost z pokładu do wody, przywiązani tylko do pasów gumowych.

Stary kapitan stoi jeszcze na mostku, w milczeniu spoglądając na pokład. Widzi łodzie z załogą, coraz bardziej oddalające się ku niewidocznym brzegom Anglii. Żal ściska mu serce na myśl, że on też będzie musiał pójść za ich przykładem; będzie musiał opuścić okręt, na którym pływał tyle lat i z którym łącząc go radości i smutki, przeżyte przez długi okres życia. A może lepiej będzie pozostać tu?... Nie, o tym nie wolno mu myśleć! Lecz natrętna myśl nie daje mu spokoju. Odpędzona, powraca na nowo, zmuszając do ciągłego myślenia nad nią.

Stojący za dowódcą oficerowie niepokoją się.

— Kapitanie. Już czas aby zejść do łodzi! — nalegają

Kapitan drgnął. Słowa jak gdyby zbudziły go ze snu w chwili, w której zupełnie bezwiednie poddawał się myśli, nakazującej mu zostać na okręcie i razem z nim skończyć życie w zimnych falach.

— Słusznie — odpowiedział. — Niech panowie zabiorą banderę, księgę szyfrową i dziennik i zjedą do szalup. Ja pójdę jeszcze na chwilę do mojej kabiny. Zaraz wrócę...



— Idę z panem, kapitanie! — zaproponował mu jeden ze stojących przy nim oficerów, młody porucznik.

— Nie, nie!... Ja pójdę sam!... — powiedział szybko kapitan, obawiając się, aby ów porucznik nie wykonał swej propozycji. Widząc na jego twarzy wahanie, dodał:

— Proszę wykonać mój rozkaz!

Raz jeszcze spojrzął na twarze swoich oficerów, zasalutował i zniknął w drzwiach kabiny nawigacyjnej. Teraz oficerowie zabrali wskazane przez kapitana rzeczy, każdy zabrał sobie coś na pamiątkę i zbiegli szybko na pokład. Wszystkie prawie łodzie ratunkowe były już na wodzie, daleko od krążownika. Tylko jedna wisiała jeszcze na łańcuchach, lecz i do tej zabierali się marynarze chcąc ją spuścić na wodę. Energiczny rozkaz zastępcy dowódcy powstrzymał ich od tego. Oficerowie wsiedli do łodzi, a przy wiosłach zajęli miejsca marynarze. Wszyscy niecierpliwie oczekiwali kapitana, którego nigdzie nie było widać. Marynarze, widząc, że woda pod nimi stale się podnosi, zaczęli cicho sarkać i domagać się natychmiastowego opuszczenia łodzi. Lecz zastępca dowódcy zwlekał, chociaż wiedział dobrze, że za chwilę okręt zatoni.

(c. d. n.)

Kazimierz Biernat

---

## Radio a pioruny

Kiedy przed kilkoma laty pierwsze radioodbiorniki zawiątały na wieś, stała się rzecz nieoczekiwana. Zacołani i ciemni wieśniacy zaczęli niszczyć wszystkie napotkane anteny. — Według ich bowiem mniemania, one to były powodem tego, że stale deszcze padają, że we dworze krowy mleka nie dają, że pioruny stale biją, itd. itd. Nie mniej jednak i dziś jeszcze można się spotkać z takim mniemaniem.

Jak się właściwie ta rzecz przedstawia na prawdę? Co ma wspólnego radio z deszczem? — Nic! — Opady atmosferyczne zależą od kierunku wiatru, od stanu nasycenia atmosfery parą wodną, od pory roku i całego szeregu innych czynników atmosferycznych, nad którymi człowiek nie posiada żadnej władzy. Dlaczego więc radio miałoby mieć władzę nad tym, nad czym człowiek jej nie ma?!

Sprawę nie dawania mleka przez krowy z powodu radia, nie warto nawet poruszać. Jest to bowiem widoczny nonsens. Z piorunami, tymczasem, rzecz przedstawia się zupełnie inaczej.

Wiemy o tym dobrze z fizyki, że iskra elektryczna obiera sobie zawsze drogę po najmniejszym oporze, a zarazem najkrótszą. Taką iskraw, tylko ogromną, jest piorun. Dlatego to piorun uderza zawsze w wysokie punkty, np. w wieże kościołów, wierzchołki drzew, dachy domów itp. Chcąc się więc uchronić

od skutków uderzenia pioruna, budujemy dla niego „wygodną“ drogę, jaką jest piorunochron. Piorun chętnie z niej korzysta, gdyż metal, z którego piorunochron jest zrobiony, przedstawia dla elektryczności znacznie mniejszy opór, niż powietrze. Jeśli zatem piorun spotka na swej drodze antenę, wtenczas ona spełni rolę piorunochronu i odprowadzi go do ziemi. Może jednak to się stać wtenczas, kiedy aparat radiowy będzie wyłączony. W wypadku, gdyby aparat nie był uziemiony, iskra (piorun) przebiegnie przez cały ustrój przewodów i cewek, spali je, niszcząc tym samym cały odbiornik radiowy.

Jak więc widzimy, radio, pomimo swych zalet, daje nam również pewną ochronę przed piorunami. O tym musimy pamiętać!

L. HOŁDOWSKI

## Czy wiecie że...

...nasz rodak, ostrowiak p. Kotecki Józef zamieszkały przy ul. Koszarowej 5 m. 9 wynalazł i skonstruował aparat do potęgowania siły fizycznej popędowej wszelkiego rodzaju (siły mięśni ludzkich, siły silników spalinowych) bez zwiększenia kosztów, czasu, pracy, drogi pracy. Jest to t. zw. „Potężnik“.

Inny wynalazek to „Wiosło żaglowiec“ powietrzno - wodny kształtu łodzi, dł. 90 m., szer. 16 m., wys. 15 m. Posiada 112 płaszczyzn nośnych (żagle przestawne) o wym. 3 m.  $\times$  5 m. a o łącznej płaszczyźnie nośnej 1680 m kwadr. oraz 150 wiosł 1,2 m.  $\times$  4 m. co daje łączną płaszczyznę oporową 576 m. kwadr. Kadłub Wiosłożagłowca podzielony jest na 4 piętra.

...18 lipca br. upłynęła druga rocznica wybuchu powstania w Hiszpanii.

...dr Gustaw Groeger po przeprowadzeniu poszukiwań w archiwum parafii św. Krzyża w Krakowie stwierdził ponad wszelką wątpliwość, że Jan Matejko urodził się 24 czerwca 1938 r.

...dnia 2. 10. 1938 r. minęła rocznica rozpoczęcia działań wojennych w Abisynii.

...w Weronie odlewany jest dzwon, poświęcony pamięci poległych w wojnie światowej. Przywieziono działa, pochodzące z Anglii, Portugalii, Francji, Polski, Belgii, Jugosławii, Rumunii, Włoch i innych krajów. Ze stopu tych dział odlany zostanie dzwon, który będzie miał wysokość 3 m, średnicy 3 m, zaś ważyć będzie 160 tonn.

...25 października 1838 r. urodził się światowej sławy kompozytor, twórca „Carmeny“, „Poławiaczy Perel“ i „Arleżjanki“ — Georges Bizet. Twórca ten, typowe „cudowne dziecko“, umarł przeżywszy 36 lat — za życia zapoznany, a uniesmiertelniony po śmierci.

Woschke K.

**CZY NALEŻYSZ JUŻ DO T. T. Z.-etu,**

**ORGANIZACJI SAMOKSZTAŁCENIOWEJ?**

Zapisy członków (kol. Duczmal M. I. lic. hum.) od klas III-cich.

**K O Ł O L I T E R A C K I E**

**T. T. Z.-etu**

zebrania co drugi czwartek o godz. 17-tej. W tegorocznym programie: Asnyk, Hłakowiczówna, Wierzyński, Szaniawski, Berent, Tuwim. — Każdorazowo: nowości literackie, lektura aktualna (najnowsza poezja, prasa), utwory własne, referaty informacyjne z zakresu literatur obcych.

**OD KLAS III-cich!**

Wszelkich informacji udziela:

kol. RAJSKI TADEUSZ, I. liceum humanist.

**KOLEDZY Z KLAS I. i II-gich**

zapisujcie się do

**KOŁA MŁODSZYCH (T.T.Z.-etu)**

które organizuje kol. RAJSKI TADEUSZ

I. lic. humanistyczne

